

Rozdział V

W czapce listonosza

Terenem mojej nowej pracy była wieś między Makowem Podhalańskim a Kalwarią Zebrzydowską. Środkiem wsi płynie dość bystra, ale niewielka rzeka, o trochę żartobliwej nazwie: Paleczka.

Istotnie, w jej niefrasobliwym, trochę kokieteryjnym biegu jest coś, co odpowiada nazwie. Po obu stronach, rozrzucony na wielkiej przestrzeni, jak to zwykle w tych okolicach bywa, leży Budzów. Kilkadziesiąt zagród. Kościół, agencja pocztowa, sklepy, piekarnia, leśnictwo, oczywiście także i karczma.

Tu przyjechałem „na stałe” we wrześniu 1941 r. Jakaż kojąca cisza po zgiełku i niebezpieczeństwach pracy w wielkim mieście, gdzie zza każdego rogu wylaniało się niebezpieczeństwo, a na każdym kroku panowie ówczesnej sytuacji starali się pokazać nam, Polakom, swoją wyższość i smutne perspektywy, jakie mamy przed sobą wszyscy prawi właściciele tej ziemi.

A tutaj jakby się nic nie zmieniło. Niemiec pojawia się rzadko, a jeśli już, to jest zupełnie niepodobny do tamtych buńczucznych, hałaśliwych, aroganckich z Łodzi. Życie toczy się może nieco leniwym, ospałym nurtem, ale jest to nurt normalny, autentyczny, nasz własny, polski.

Zacząłem rozglądać się po wioszczynie. Wiadomo, co było najważniejsze. Już skończył się pan Westfalewicz, pan Zawiasa, pan Rusinowski, lewe papiery i specyficzny żywot człowieka nielegalnego. Powróciłem do prawdziwego nazwiska, trzeba było zacząć prawdziwe życie, a raczej życie podwójne – bo także i to drugie, nielegalne, konspiracyjne. W Łodzi byłem tylko człowiekiem podziemia, teraz należało kojarzyć działanie legalne z nielegalnym.

Szukałem zajęcia, które byłoby parawanem dla dalszej konspiracji. W Budzowie mieszkał radca finansowy Gaudnik z Katowic. W tej małej osadzie pragnął przetrzymać niedobre lata wojny, zanim znów nie pojawi się możliwość powrotu do dawnej pracy na wcielonym teraz do Rzeszy Śląsku. On mi wskazał pocztę.

- Poczta, panie Tadeuszu, to najbardziej godna we wszystkich przewrotach i burzach historycznych instytucja; poczta jest ponad wojną i ponad polityką.

Jego syn już od dłuższego czasu pełnił obowiązki listonosza i z trudem wielkim radził sobie z robotą; było jej bowiem najmniej na dwóch listonoszów i dwa też były urzędowo przewidziane etaty.

Poczta? Znakomity pomysł! Neutralność, techniczność tej sytuacji – to raz. Druga rzecz – to swoboda poruszania się, ogromne możliwości kontaktów z ludźmi. Listonosz w mieście jest kimś, kogo by z powodzeniem można zastąpić automatem, gdyby taki wynaleziono; jest dla mieszkańca miasta czymś anonimowym i bezosobowym. Ale na wsi to coś zupełnie innego. To rodzaj powiernika, przyjaciela, świadka wydarzeń, czasem doradcy. Trzecia rzecz to mundur. Skromny był nasz pocztowy mundur, którego najważniejszym i prawie jedynym istotnym elementem była czapka, z której usunięto przedwojennego orzełka, a umieszczono jakąś kombinację liści, skrzydełek, czegoś tam jeszcze, w co wpleciono litery RP, mające oznaczać „Reichpost”. Mundur dawał wobec Niemców poczucie bezpieczeństwa większe niż jakiekolwiek legitymacje; jak wiemy, naród ten żywi instynktowny i głęboko w psychice zakorzeniony kult munduru, o czym świadczy chociażby kapitalna i jedyna w swoim rodzaju historia oszukańczego kapitana z Koepenick.

Tak oto, po niewielkich formalnościach, rozpocząłem karierę listonosza.

Pewnego dnia zdarzyło się coś, co u każdego prawdziwego listonosza musi wywoływać szczególne uczucie. Z Warszawy przyszedł list, którego adresatem byłem ja, czyli po prostu sam sobie miałem ten list doręczyć.

Nadawcą był Andrzej¹, ale na kopercie nie było adresu zwrotnego. Jeszcze kiedy pracowałem w Związku Walki Zbrojnej w Łodzi i byłem służbowo w Warszawie po kryształę, nawiązałem kontakt z druhem Andrzejem, którego znałem jeszcze z Wołynia, gdzie w roku 1933 był zastępcą komendanta Chorągwi Harcerskiej w Łucku, ja zaś pełniłem tam funkcję pilota drużyn wodnych. W 1940 r. spotkany w Warszawie Andrzej oznajmił mi, iż należy do organizacji stworzonej na polecenie gen. Sikorskiego. Przenosząc się z Łodzi na Podhale zawiadomiłem go o tym i stąd list do mnie.

„Przyjadę do ciebie niedługo” – głosiły lakoniczne, oszczędne linijki krótkiego liściku, zredegowanego tak, że najdomyślniejszy nawet człowiek nie dopatrzyłby się cienia czegoś, co przypomina korespondencję poważnej figury w konspiracji polskiej z kimś, kto ma zacząć działalność podziemną.

Rzeczywiście nie dał na siebie czekać. Któregoś jesiennego dnia zjawił się u mnie w Budzowie. Odbyliśmy długą rozmowę na wszystkie możliwe w tych warunkach tematy, od wielkich spraw międzynarodowych począwszy, a kończąc na omówieniu sytuacji panującej w tej małej wsi.

Przedstawił mi następnie cel i zadania owej organizacji „Sikorskiego” noszącej nazwę Organizacja Wojskowa Korpus Bezpieczeństwa, a następnie, przedstawiając się jako szef personalny Komendy Głównej Korpusu Bezpieczeństwa, po wyrażeniu przeze mnie zgody na wstąpienie do tej organizacji, zapowiedział powierzenie mi zadania. Miałem przygotować się do objęcia funkcji komendanta powiatowego w powiecie żywieckim oraz do zorganizowania i przygotowania kadry oficerskiej i podoficerskiej, jak również tymczasowej obsady władz administracyjnych.

Nie powiem, że bym był szczególnie zachwycony nową organizacją. O ile w Łodzi cały ciężar i wysiłek naszej pracy spoczywał na chwili bieżącej, na konkretnym atakowaniu okupanta, na nękanii go małym i dużym sabotażem i dywersją, o tyle teraz w Korpusie Bezpieczeństwa zadania rysowały się nieco inaczej.

Swoją rolę miała ta organizacja odegrać głównie w ostatniej fazie wojny i w ciągu pierwszych miesięcy po jej zakończeniu. Oczywiście było dla mnie, że sprawa zorganizowania ochrony ładu i bezpieczeństwa, a także mniej więcej sprawnego funkcjonowania administracji w pierwszych tygodniach po wypędzeniu Niemców – jest rzeczą niezwykle ważną. Ale teraz Niemcy parli swoimi pancernymi dywizjami pod Moskwę, gdzie sytuacja była dramatyczna, ich wojska zagrażały Kanałowi Sueskiemu, ich armaty i samoloty rzucały groźny cień na Londyn, a okręty podwodne grasowały po wszystkich oceanach świata. Dla największych optymistów zatem stawało się jasne, że choć wygramy na pewno, to jednak zanim do tego dojdzie, dużo wody upłynie w Wiśle, i wiele krwi ludzkiej trzeba będzie przelać.

Przez cały czas jednak czułem się żołnierzem, który to i owo na swój rachunek myśli, ale w zasadzie jest od tego, aby wykonywać rozkazy. Zresztą czy to takie ważne, jaką nazwę nosi jednostka bojowa, a nawet, kto i z jakimi zamiarami ją tworzy. Już wówczas zdawałem sobie sprawę, że sam bieg wypadków narzuci nam właściwą rolę, a więc trzeba, żebyśmy byli wobec tego, co zdarzy się w przyszłości, przygotowani, zorganizowani i w miarę możliwości uzbrojeni.

Andrzej pojechał do Warszawy, ja zaś zacząłem stawiać pierwsze kroki w nowej działalności, jednym z nich był wyjazd do Kocmyrzowa.

Kocmyrzów to mała osada koło Krakowa, dziś pewnie już pochłonięta przez Nową Hutę. Coś pośredniego między bardzo dalekim przedmieściem, a podkrakowską wsią. Była paskudna listopadowa pogoda, padał zimny, podcinany wiatrem kapuśniaczek. Nastawiając

¹ Andrzej – Andrzej Janiszek, płk OWKB – obecnie dyrektor Muzeum Głównego Urzędu Miar.

kołnierz i brodząc po gliniastym bloku wreszcie z ulgą przeczytałem szyld zawiadamiający, że w tym skromnym, parterowym domku z małym ganeczkiem mieści się apteka.

Podszedłem do starszego aptekarza w nieskazitelnie białym fartuchu, starając się przedrzeć przez grupę klientów oblepiających ladę.

- Dzień dobry, czy można tu dostać maść na prusaki?

Farmaceuta spojrział na mnie uważnie.

- To chyba jakaś pomyłka – powiedział cicho i bez przekonania. – U nas nie ma maści na prusaki, jest natomiast proszek.
- Ale pan Andrzej, który mnie tu przysłał, mówił, że właśnie macie panowie maść, a nie proszek.
- Zaraz, zaraz, niech pan trochę poczeka, zobaczymy. Proszę tymczasem wyjść na korytarz i zaczekać.

Wyszedłem do małej sionki, zwanej przez pana aptekarza szumnie korytarzem. Za chwilę otworzyły się drugie drzwi, a w nich pojawiła się znajoma mi już postać w białym fartuchu.

- Proszę, niech pan tutaj zajdzie.

Wszedłem do małego laboratorium farmaceutycznego, gdzie – jak to się mówi – kręcono piguły. Drzwi do drugiego pokoiku były półotwarte, doleciała mnie rozmowa telefoniczna, prowadzona przez aptekarza:

- Proszę, niech Stasia przyjdzie do apteki, ja muszę na godzinę wpaść do domu.

Magister Tadeusz Kozłowski mieszkał w pobliżu apteki. Miał pięć córek. (Jakiż to kłopot – myślałem przelotnie – z wyposażeniem i wydaniem za mąż tylu panien). Był przewodniczącym Rady Okręgu VI Korpusu Bezpieczeństwa i, jak dowiedziałem się później od niego, przewidziano go ponoć na stanowisko wojewody po wojnie.

Tadeusz Kozłowski i komendant Okręgu VI Organizacji Wojskowej Korpus Bezpieczeństwa mjr Poraj² potwierdzili rozkaz Andrzeja, że mam na swoim terenie stworzyć coś w rodzaju kompanii kadrowej, przygotować ją do udziału w działaniach bojowych i zorganizować werbunek żołnierzy, którzy w razie potrzeby stawiliby się w kompanii. Zostałem mianowany komendantem powiatowym powiatu żywieckiego, który znajdował się już poza granicami Generalnej Guberni; podczas akcji „Burza” w tym to powiecie miałem walczyć.

Konieczność utrzymania kontaktu bądź z Porajem, bądź z mgr. Kozłowskim zmuszała do częstych wyjazdów do Krakowa i Kocmyrzowa i już wtedy zrozumiałem, jakie liczne korzyści wynikają z mojej legalnej służby; czapka listonosza, niczym jakaś czapka niewidka, broniła mnie przed rozmaitymi, nie zawsze bezpiecznymi, a zawsze bardzo nieprzyjemnymi spotkaniami z żandarmerią, policjantami i urzędnikami niemieckimi.

Pierwszym przygotowaniem do konkretnej pracy w terenie było zreformowanie systemu doręczania listów.

Rejon agencji był bardzo rozrzucony, obejmował sześć wsi. Moi poprzednicy radzili więc sobie w ten sposób, że wybierali kilka lub kilkanaście punktów, gdzie zostawiali listy dla pewnej części wsi, nie zachodząc już do każdej chaty. Zmieniłem ten stan rzeczy. Adresaci dziwili się gorliwości nowego listonosza, który nie szczędził czasu ni fatygi, aby każdemu do rąk dostarczyć list, nie byli przecież do tego przyzwyczajeni.

A ja miałem okazję uważnie obserwować chałupy i ich mieszkańców. Coraz częściej ludzie, mile zdziwieni moją gorliwością, poczuli się do obowiązku poczęstunku, ja chętnie to przyjmowałem, rozsiadałem się przy stole, no i „co tam, panie, w polityce?”

A były to czasy niezwykle ciekawe. Niemiecka ofensywa pod Moskwą została zatrzymana, pod koniec listopada Rosjanie odbili z rąk niemieckich pierwsze w dziejach tej wojny wielkie miasto – Rostow nad Donem, Ameryka przystąpiła do wojny.

Często bywałem w Krakowie, gdzie były sędzia Alfons Lisewski, członek Rady Okręgu Organizacji Wojskowej Korpus Bezpieczeństwa oraz szef Okręgu mjr Poraj,

² Poraj – dr praw Emil Daniec, pplk OWKB – obecnie notariusz w Bielsku Białej.

zatrudniony jako magazynier w jakiejś składnicy win, „oświecali mnie” w polityce i aktualnościach; zacząłem też otrzymywać pierwsze egzemplarze prasy konspiracyjnej z Warszawy.

Górale chciwie słuchali wiadomości, niejednen z nich czasem potrzasał niedowierzająco głową:

- A skąd to, panie, wszystko wiecie?

Chcieli najwidoczniej upewnić się co do wiarygodności tego, co im mówiłem. Stare, odwieczne pytanie o źródło informacji w tym wypadku było jednak nieco kłopotliwe.

- W gazecie czytałem...

- A, w gazecie... O, to na pewno prawda.

A po paru dniach znowu indagacja:

- Ja też czytałem gazetę, ale tam nie było tego, coście powiedzieli.

Nie mogłem tak od razu, otwarcie przyznać się do czytania gazetek konspiracyjnych, więc mówiłem, że to podawała prasa warszawska. Zresztą prasa konspiracyjna na tym terenie dopiero się zaczynała i co starszy a konserwatywniejszy mieszkaniec Budzowa nie bardzo odróżniał podziemne piśmiennictwo od wydawanej przez Niemców gadzinówki. Kluczyłem więc, jak mogłem.

Tak to prowadząc rozmowy na temat „co tam, panie, w polityce”, coraz głębiej penetrowałem miejscowości okoliczne, aż wreszcie przystąpiłem do werbowania członków mojego przyszłego oddziału. W jakiejś chacie, na przykład, wypatrzyłem sobie takiego młodzieńca, który miał już za sobą służbę wojskową, głównie o takich mi chodziło, gdyż chłopcy po wojsku znali zasady musztry, posługiwali się bronią itp. Rozpytywałem najpierw o niego sąsiadów: czy chce się żenić (bo to temat najbardziej dyskutowany), jaki ma charakter, czy do kieliszka zaglądać lubi, czy nie jest papłą. A gdy rezultaty wywiadu były pozytywne, przy którejś bytności brałem go konfidencjonalnie pod ramię:

- Chodźcie, pogadamy sobie, mam do was interes.

I wtedy już prosto z mostu zaczynałem, co i jak: z Niemcami trzeba się bić, nie można czekać z założonymi rękami. Szykuję tutaj organizację wojskową, jeśli chce, to może się do nas przyłączyć, a jeśli nie chce, to pary z gęby puścić nie wolno, rozmowa nasza powinna jak kamień w studnię się zapaść, jakby jej nigdy nie było.

Poprzedzona dobrym rozpoznaniem człowieka rozmowa kończyła się zwykle gorączkową oraz przysięgą. Wypadków odmowy – jak sobie teraz przypominam – nie było. Młodzież garnała się do organizacji wojskowej. Decydującym tu czynnikiem była rosnąca nienawiść do Niemców. Wieści o ich bestialstwach szerzyły się. Próby kolaboracji podejmowane przez osobników typu Krzeptowskich nie zyskały sobie większej popularności, kandydatów na członków Gorallenvolku nie było wielu.

Z drugiej jednak strony chęć do wojaczki była podsycana także przez warunki ekonomiczne: gospodarstwa małe, rodziny liczne, możliwości jakiegoś zatrudnienia poza ojcowizną niewielkie. Cóż dziwnego, że w tych warunkach pokusa wielkiej przygody wojskowej była szczególnie powabna.

Kadry mojego przyszłego oddziału kształtowały się poprzez dziesiątki, setki konfidencjonalnych rozmów. Przez długi czas opierałem się na kontaktach dwustronnych. Później zaczęli mi pomagać inni, już zwerbowani.

Zacząłem tworzyć sekcje. Stanowiły one podstawową komórkę oddziału, liczyły po sześciu do ośmiu ludzi. Zgodnie z zasadami konspiracji na terenie samego Budzowa, gdzie mieszkalem i pracowałem, nie prowadziłem żadnej organizacyjnej działalności.

Za to w okolicach moje szeregi rosły jak na drożdżach.

Oto w Zachełmnej powstały trzy sekcje, w Palczy cztery, w Jachówce jedna. W samym Budzowie byłem tylko i wyłącznie listonoszem. Później do współpracy zwerbowałem swego

kolegę z urzędu pocztowego, Andrzeja Gaudnika, oraz mieszkańca pobliskiego dworu, Zygmunta Pietrusińskiego.

Po „epoce organizacyjnej” przysła „epoka szkoleniowa”.

Większość moich żołnierzy miała za sobą – jak już wspomniałem – służbę wojskową. Toteż zagadnienia związane z musztrą, posługiwaniem się bronią etc. Na ogół nie nastęrczały większych trudności. Oczywiście trzeba było niektórym to i owo przypominać, albowiem pamięć ludzka ma tę właściwość, że z upływem czasu najsolidniejsza nawet wiedza wietrzeje z głowy. Innym, którzy „rozkoszy nie użyli i w wojsku nie służyli”, trzeba było wyłożyć abecadło w zakresie posługiwania się bronią, elementarnych zabiegów taktycznych etc.

Jednak punkt ciężkości pracy szkoleniowej leżał gdzie indziej. Należało wzmocnić „kondycję psychiczną”. Dać chłopcom obraz sytuacji w Polsce i na świecie. Porozmawiać z nimi o tym, co w dawnej, tej, co padła we Wrześniu, Polsce nie było dobre i co powinno być zmienione. Tematy te były żarliwie i chętnie dyskutowane przez moich podkomendnych.

Stosownie do założeń instrukcji, jakie otrzymałem, krytyka stosunków przedwrześniowych była umiarkowana, perspektywy zaś reform powojennych skromne w porównaniu do tego wszystkiego, co stało się parę lat później. Jednak ani ja, ani moi chłopcy, nie wchodziliśmy zbyt w szczegóły zarówno tej krytyki, jak tych projektów. Ważne było, że Niemców się pobije i w tej nowej Polsce będzie lepiej, będzie piękniej, będzie sprawiedliwiej. Oto i cała filozofia społeczna!

Zbieraliśmy się, jeżeli pogoda dopisała, w sześciu, siedmiu, ośmiu, w jakimś ustronnym zakątku lasu – gdy z pogodą było kiepsko – w jakiejś chałupie i szkoliliśmy się, „docieraliśmy” oddział. Rzecz szła szybko i sprawnie, toteż już pod koniec 1942 r., kiedy pod Stalingradem rozgrywała się przełomowa bitwa, mogłem zameldować mojemu krakowskiemu komendantowi, mjr. Porajowi, że oddział w zasadzie jest sformowany.

Jak zwykle w takich przypadkach, konsekwencją meldunku była inspekcja. W końcu grudnia 1942 r. zjawił się u mnie mjr. Poraj. W wielkiej stodole odbyła się zbiórka, major przeegzaminował, porozmawiał, wreszcie wręczył naszym chłopcom odznaki przynależności do Korpusu Bezpieczeństwa. Były to metalowe znaczki z literami KB i z rzymską cyfrą VI, która miała oznaczać numer naszego Okręgu, tudzież z numerem ewidencyjnym każdego żołnierza.

Wypadł akurat Sylwester i major postanowił spędzić Nowy Rok u mnie. Ożywione i pełne nadziei były nasze rozmowy przy noworocznym stole. Toasty – wiadomo jakie: za koniec wojny, za nową Polskę – w coraz mniejszym stopniu były pobożnymi życzeniami, coraz bardziej stawały się zapowiedzią tego, co już wkrótce nastąpi.

Poraj opowiadał o swoich przeżyciach z czasów pierwszej wojny światowej, potem wziął cytę, ktoś inny skrzypce, graliśmy i śpiewaliśmy, pełni optymizmu i wiary w przyszłość.

Nieraz, wracając pamięcią do tamtych czasów, zastanawiam się, jak to się działo, że wśród okropności niemieckiej okupacji, w nie najlepszym położeniu, bo nawet mimo rysującej się wyraźnie klęski pod Stalingradem front niemiecki trwał mocno, a władza ich ogarniała prawie całą Europę oraz część Afryki, wśród różnych, nieraz bardzo ciężkich warunków życia umieliśmy zachować tak radosny optymizm. Optymizm, który nie tylko dodawał nam sił do działania i walki, lecz także czynił życie jaśniejszym, rodził humor i dobre samopoczucie.

Pytanie to nurtuje mnie tym intensywniej, gdy przyglądam się dzisiejszym ponurakom, zwłaszcza wśród młodych ludzi, sarkającym, narzekającym, ciągle żywiącym do kogoś pretensje. A przecież jakże nieporównywalnie lepsza jest ich sytuacja od tamtej w dni okupacyjnych cierpień i walki na śmierć i życie z wrogiem, dla którego pojęcie ludzkości było tylko pustym dźwiękiem, na który lepiej jednak odbezpieczyć pistolet.

Odpowiedź, jak to się działo, że wśród tylu trudności i niebezpieczeństw umieliśmy zachować pogodę ducha, jest chyba taka: Nie byliśmy bierni. Nie zadawaliśmy sobie trwożliwego

pytania, co z nami będzie? – czekając na bieg wydarzeń. Staraliśmy się – każdy jak mógł – wpływać na kształt przyszłości. Dziś prowadzi się uczone dyskusje, w jakim stopniu walka podziemna w Polsce wpłynęła na ogólny nurt wypadków wojennych. Z pewnością ustalenie tego nie jest łatwe, albowiem, jak ktoś powiedział, wojna jest równaniem setnego stopnia o tysiącu niewiadomych i jej losy bywają przesądzone zarówno przez wysiłek całych armii, jak i przez nagłą niedyspozycję wodza w krytycznym momencie. Na pewno obiektywne znaczenie naszego podziemia było bardzo wielkie, i to nie tylko w sensie statystycznym – rachunku strat bezpośrednich, jakie zadaliśmy wrogowi, lecz także w sensie psychologicznym – wywoływania u Niemców poczucia, że są osaczeni, że na każdym kroku oczekiwać ich może atak ze strony partyzantki. Ale warto na całą sprawę spojrzeć także nieco z innej perspektywy. Wracalem w pamięci do rozmowy z nieznanym majorem w bełżeckim kościele we wrześniu 1939 r.

Walka podziemna, partyzantka była psychiczną potrzebą narodu polskiego. Człowiek postawiony oko w oko z największym zagrożeniem, znajdujący się wśród fatalnych trudności, nie załamie się, jeśli ma świadomość, że cios napotyka na cios, gwałt „się gwałtem odciska”, zbrodnia jest zagrożona karą. Gdybyśmy na to wszystko, co się stało we Wrześniu i później, odpowiedzieli trwożliwym oczekiwaniem, „co z nami będzie”, i zalecaną nam przez okupanta biernością i posłuszeństwem, załamalibyśmy się moralnie i tym samym de facto wyrazilibyśmy zgodę na przekształcenie nas w zdemoralizowaną gromadę niewolników, a tego właśnie hitlerowcy sobie życzyli.

Nie ma zwycięstwa bez wiary, bez optymizmu, bez „kondycji moralnej”. Z kolei nie ma tego wszystkiego, jeśli tylko bierni oczekujemy swego losu, jeśli przed podjęciem jakiegokolwiek działania zatruwamy się wątpliwościami „czy aby na pewno się uda”, „czy warto”, „czy nakład energii i ofiar nie jest za duży”. Dziś, zwłaszcza wśród młodszych ludzi, jest moda na tego rodzaju wątpliwości i pytania. Może dlatego tak wiele jest pozy pesymistycznej, a tak mało konkretnego wysiłku, żeby usunąć to, co nam zawadza i co nas martwi, aby poprawić to, co wymaga udoskonalenia. Nasz okupacyjny styl działania nie polegał na stawianiu wielkich pytań i domaganiu się jakichś globalnych rozwiązań, które by z dnia na dzień zmieniły sytuację. Byłaby to donkiszoteria. Stawialiśmy sobie pytania i zadania konkretne, co w danej sytuacji, w danym miejscu, tymi siłami, którymi dysponujemy, można zrobić. I zawsze okazywało się, że skwapliwie wykorzystując każdą nadarżającą się sposobność, można zrobić znacznie więcej, niż na pierwszy rzut oka się przypuszczało.

No, dość tego filozofowania. Jeśli sobie trochę pozwoliłem na nie, to dlatego głównie, aby spróbować pośrednio oddać nastrój tej nocy sylwestrowej z r. 1942 na 1943 w drewnianym góralskim domku z ganeczkiem, w małej, górskiej, rozrzuconej wśród lasów i zagajników wiosce Budzów.

Mjr Poraj był zadowolony z moich osiągnięć, a wyrazem tego uznania była dość osobliwa decyzja. Miałem zatrzymać tytuł i funkcje Komendanta Organizacji Wojskowej Korpus Bezpieczeństwa na powiat żywiecki, jednakże, wobec zadawalających postępów, robotę na razie zawiesić. Do Okręgu należały inne powiaty, zupełnie nie zorganizowane: Częstochowa, Włoszczowa, Jędrzejów, Grójec. Wszędzie tam organizacja ponawiaływała małe, cieniutkie kontakty. Trzeba było tam pojechać, udzielić instrukcji, nawiązać łączność, rozejrzeć się w sytuacji. „Nie samym Żywcem organizacja stoi”.

Było to bardzo niebezpieczne i bardzo trudne, gdyż jechało się właściwie w „ciemno”. Nie zawsze bezbłędnie można przewidzieć reakcję tych, do których człowiek się zgłosi z propozycją podjęcia działalności podziemnej. Niemcy w owym czasie też nie próżnowali; rozbudowywali intensywnie siatkę swoich szpicli i konfidentów, a tu wypadało działać na zupełnie obcym terenie.

Dochodziła do tego trudność także bardziej prozaiczna: przecież pracowałem, bądź co bądź byłem listonoszem, obowiązany do codziennej służby. Trudno było z pracą pogodzić

proponowaną przez majora „tour de Pologne”. Urlopów dla celów działalności społecznej tego typu Reichpost nie przewidywała.

Ale jakoś dałem sobie radę, przyszli mi z pomocą kierowniczką miejscowej agencji pocztowej, panna Kryśka Gaudnik, oraz mój konspiracyjny współpracownik, drugi listonosz, Jędrzek Gaudnik. Ułożyliśmy sobie, że się ulotnię na jakiś czas, a moje i swoje funkcje będzie pełnił Jędrzek, on będzie brał moją pensję i inne beneficja urzędowe, a ja zachowam prawo do munduru, do legitymacji pocztowej, do czapki listonosza, o której znaczeniu już wspomniałem i której tak wiele zawdzięczam.

Był ponury zimowy ranek. Nad dworcem nawisły ciężkie chmury. Ciężko sapiąc wtoczył się na peron przepełniony do granic możliwości pociąg z Krakowa. Jeszcze się nie zatrzymał, a już widać, że na częstochowskim dworcu dzieje się coś niedobrego. Perony puste, jakby ktoś miotłą przeciągnął. Tylko tu i tam mignie mundur niemiecki, z daleka słychać gardłowy krzyk i stukot podkutych butów. W pociągu powstał popłoch.

Oblawa? Czego szukają? Jeżeli tylko handlarzy, pół biedy, ale jeśli podejrzanych o znacznie gorsze przestępstwa aniżeli przewiezienie półcia słoniny czy paru kilogramów rąbanki?

Odchylam kurtkę, sięgam do wewnętrznej kieszeni. Jest portfel, w portfelu służbowa legitymacja pracownika poczty, niezawodny dotąd gajt bezpieczeństwa. Tak, niezawodny w Krakowie czy w Wadowicach, gdzie zawsze można wytłumaczyć, że przyjechało się w jakiejś sprawie służbowej. W Częstochowie muszę mieć inną bajeczkę, już mniej wiarygodną, a całkiem beznadziejną, jeśli któremu Niemcowi zechce się sprawdzić to, co mówię.

Ostra kontrola. Jeden pasażer po drugim odchodzi na bok, gdzie zebrał się już pod gęstą strażą cały tłumek podejrzanych. Teraz kolej na mnie...

Ach, ten niemiecki kult munduru. Żandarm patrzy bystro na mój uniform, na czapkę z błyszczącymi literami „Reichpost”, tak, listonosz, pewnie spieszy się do pracy. Dzika twarz Niemca, przywykłego do wszelkich zbrodni na co dzień, jakby się rozchmurza; kto wie, może i on oczekuje codziennie listonosza z listem od kogoś bliskiego, w każdym razie ryczy:

- Briefträger...Geh schnell, na, los, los.

Popycha mnie energicznie i już jestem po tamtej, bezpiecznej stronie, wśród ludzi, którzy tym razem ocalili swoją wolność. Oczywiście mój krok robi się służbiście szybki, muszę dopasować się do wyobrażenia, jakie powziął o mnie żandarm.

Na dużym placu przed dworcem zwalniam kroku, teraz mi się nie śpieszy. Jak mnie poinstruowano? Trzeba dojść ulicą wiodącą od dworca ku miastu do dużej przecznicy, potem jakieś pięćset metrów w prawo.

Idę, odrapana czynszowa kamienica. Mijam bramę, wchodzę w ciasne i ciemne podwórze. Brudna klatka schodowa z powybijanymi oknami, zza drzwi małych, skromnych mieszkańek dochodzą hałasy, towarzyszące każdemu nowemu dniowi.

Na szczęście na drzwiach, które mi są potrzebne, znajduje się kartka z nazwiskiem właścicieli mieszkania: Gabrysiowie. Pukam cicho.

Sierżant Straży Ogniowej miasta Częstochowy wrócił akurat ze służby. W rozpiętym mundurze siedział przy stole i zajadał grubą pajądę chleba ze smalcem, popijając kawą z mlekiem.

- Mam dla pana pozdrowienia od krewnych z Kocmyrzowa.

Gabryś trochę się zdziwił, ale podziękował i spojrzął pytająco na mnie. Wiedziałem dobrze, że na nic nie zdadzą się tutaj wszelkie wstępy. Jeśli są zbyt długie, nadmiernie mobilizują nieufność rozmówcy. Trzeba więc przystąpić od razu do rzeczy, kawa na ławę.

Mówię więc o walce z Niemcami, o Organizacji Wojskowej Korpus Bezpieczeństwa, wykładam, na czym nam zależy, pytam, czy chce wziąć w tym udział.

Gabryś słucha uważnie. Jeżeli namyślał się, to najwyżej przez sekundę. Wstaje z krzesła, wyciąga ku mnie rękę i mówi tonem uroczystym:

- Nie znam pana, ale znają pana chyba moi krewni. Wierzę panu, zgadzam się.

To była bardzo charakterystyczna reakcja dla ówczesnych czasów. Prowadziłem wtedy setki rozmów tego rodzaju: „Czy zgadzasz się brać udział w naszej działalności, tak ryzykownej, tak strasznymi konsekwencjami grożącej?” Już wspominałem, że odmów nie pamiętam. Zgadzano się powszechnie – właśnie tak jak Gabryś, natychmiast, bez chwili namysłu, od ręki. To trzeba podkreślić, bo nie jest ważne tylko to, czy ktoś się zgodził, czy nie zgodził, ale także i to, w jaki sposób zgoda ta została wyrażona: spontanicznie czy po ociąganiu się i walce wewnętrznej.

Uzgodniwszy część „pryncypialną”, przeszliśmy do szczegółów technicznych. Gabryś pracował w Straży Ogniowej miasta Częstochowy.

- Więc co mamy zrobić?

- Zwerbować mniej więcej dwudziestu pięciu ludzi. W Straży i poza nią. Organizować na zasadzie „piątek”, tj. wy dobierzecie pięciu, tamci sobie dobiorą po pięciu. Nie wolno robić żadnych zapisków, prowadzić jakiegokolwiek ewidencji. Na razie uprawiać sabotaż, jak wybuchnie pożar magazynu niemieckiego czy czegoś w tym rodzaju, nie spieszyć się z gaszeniem; jeżeli budynek niemiecki się pali, to widać trzeba, żeby się palił. Będą się palić coraz częściej – dodałem po chwili. – Poza tym do was należy rozpoznanie. Obserwować, zbierać informacje, co robią Niemcy. A w ten oto sposób będziecie kontaktować się z komendą Okręgu w Krakowie...

Gabryś słuchał uważnie. Gdy po jakimś czasie przyjechałem do Częstochowy, aby skontrolować rozwój organizacji, miałem możliwość stwierdzić, jak znakomicie wywiązywał się z przyjętego na siebie zadania.

Trasa mej podróży wiodła dalej do Włoszczowej.

Tam znalazłem się w małym domku lekarza weterynarii, położonym przy bocznej niebrukowanej ulicy. Doktor był doskonale zorientowany w sytuacji. Wiedział dokładnie, jakie organizacje podziemne działają na terenie jego powiatu, mniej więcej jakimi siłami dysponują i jakie mają możliwości.

Rzeczywiście, miał idealne warunki do pracy. Codziennie nie kontrolowany przez nikogo przemierzał powiat wzdłuż i wszerz, niemal miał okazję słyszeć, jak trawa rośnie. Poza tym należał do miejscowej elity powiatowej, w trakcie rozmaitych towarzyskich przyjęć i brydżyków również mógł się w wielu rzeczach zorientować.

Chętnie wyraził zgodę na współpracę z nami, tylko ta współpraca miała bardziej administracyjno-polityczny niż wojskowy charakter. Ustaliliśmy sieć łączności i kontaktów, przedyskutowaliśmy założenia organizacyjne i pan listonosz musiał się pożegnać, gdyż pociąg do Jędrzejowa odjeżdżał już za godzinę, a jeszcze zostało parę spraw do załatwienia.

Na Jędrzejowie i Grójcu zakończyła się moja podróż. Wszędzie starałem się założyć coś w rodzaju podwaliny pod organizację konspiracyjną. Nawiązane kontakty i przekazane instrukcje okazały się płodne, robota ruszyła z miejsca.

Być w Grójcu i nie zajrzeć do Warszawy, to prawie to samo, co być w Rzymie i nie widzieć papieża. Zwłaszcza, że w Komendzie Głównej Organizacji Wojskowej Korpus Bezpieczeństwa należał się meldunek zarówno z tego, co działałem jako komendant w Żywcu, jak i z wyników tej ostatniej podróży.

Pewnego więc popołudnia zapukałem do skromnego mieszkańca na Grochowie. Mieszkał tam mój przyjaciel, a obecnie przełożony, szef personalny Głównej Organizacji Wojskowej Korpus Bezpieczeństwa, już wspomniany druh Andrzej.

- Była wsypa, mąż aresztowany – oznajmiła mi od razu żona Andrzeja, pani Wicia.

Rozejrzałem się niespokojnie wokół siebie.

- Proszę się nie denerwować; wzięli go z pracy czy z miasta, nie wiem dobrze, w każdym razie mieszkanie, choć nie jest najbezpieczniejszym miejscem, nie znajduje się pod obserwacją.

Posadziła mnie przy stole, poczęstowała szklanką kawy, powiedziała, żebym trochę odpoczął, ona zaraz pójdzie do miasta i znajdzie dla mnie kontakt. Trzeba było wiedzieć, że pani Wicia była doskonale zorientowana w pracach męża i jak się zdaje, sama pełniła jakąś funkcję w organizacji.

Po jakimś czasie zjawił się ppłk Wilk³ z Komendy Głównej. Rzeczywiście, potwierdził, była poważniejsza wsypa; wpadł nie tylko Andrzej, ale sporo innych, między innymi sam komendant główny Organizacji Wojskowej Korpus Bezpieczeństwa, inż. Witold Orzechowski. Próbują teraz zreorganizować się po ciosie.

Opowiedziałem o wynikach mojej pracy zarówno na terenie Budzowa, jak i w tych nowo organizujących się powiatach. Fakty wyglądały pozytywnie, szczególnie tu – na tle zamieszania i pewnej depresji, jaką wywołuje każda wsypa czy w ogóle mocniejsze uderzenie przeciwnika – miały szczególną wagę, toteż ppłk Wilk zdecydował:

- Skontaktuję was z Młotem. To dowódca batalionu uderzeniowego w Warszawie, jest u nas także szefem wywiadu i szefem ochrony Komendy Głównej. On was zaprowadzi do kogoś, z kim powinniście się porozumieć.

Nazajutrz ujrzałem Młota. Miał zatroskany wyraz twarzy.

- Chodźmy – powiedział – mam was zaprowadzić do komendanta głównego.

Dość długo krążyliśmy jakimiś zakamarkami między Nowym Światem a Marszałkowską. Czy innej drogi nie było, czy też Młot tak mnie prowadził, chcąc, abym stracił orientację, trudno powiedzieć. Właściwie była to dość jednostronna rozmowa; Młot, wyraźnie przygnębiony ostatnimi wydarzeniami, opowiadał mi o niemieckich sukcesach w „rozpracowywaniu” podziemia.

- Słyszałem z poważnego źródła, że Niemcy przechwalają się, iż rozszyfrowali aż siedemdziesiąt dwie różne organizacje wojskowe i polityczne, utrzymujący bezpośredni kontakt z Londynem. Nie bierzemy tego dosłownie, ale, co tu gadać, macki sięgają głęboko.

Stanęliśmy przed drzwiami jakiegoś warsztaciku szewskiego. Młot nacisnął klamkę. Siedzący na zydelku wąsаты mistrz szydła i dratwy podniósł głowę, ale ujrzawszy Młota wrócił natychmiast do przerwanej roboty. Przeszliśmy przez ciemny warsztat i weszliśmy przez ukryte za brudną zasłoną drzwi do pokoiku – ni to magazynku, ni to kantorku.

Przy małym stole, na szewskim zydelku siedział starszy mężczyzna o spokojnym i nieco zamyślnym wyrazie twarzy. Wiedziałem, że to komendant główny, a więc zamierzałem zameldować się według wszelkich prawideł regulaminu.

Tamten powstrzymał mnie ruchem ręki.

- Dajcie spokój, nie trzeba. Jesteśmy w konspiracji, nie czas, nie miejsce na takie cacki regulaminowe. I tak już trochę za drogo płacimy za tę naszą skłonność do blichtru. To nie zabawa w wojsko, to ciężka wojskowa praca podziemna.

Młot dyskretnie się wycofał. Wiktor⁴ wskazał mi drugi zydelek, stojący koło małego okienka, zza którego widać było wciśnięte między oficyny, niesamowicie zagracone, podwórko-studnię.

Zacząłem więc znów od początku referować sposób i wyniki naszej pracy organizacyjnej. Wiktor słuchał uważnie, czasem wzrokiem tylko dawał poznać, że czegoś dokładnie nie zrozumiał, że coś mu się podoba, a coś nie.

Wreszcie, bez słowa komentarza na temat mego meldunku, odezwał się:

- Jak oceniacie możliwość stworzenia u was silnego oddziału partyzancko-dywersyjnego? Potrzebne jest nam coś w rodzaju poligonu, gdzie przeszkalano by ludzi, gdzie spaleni w innych częściach kraju mogliby się bezpiecznie ukryć.

Serce z radości podskoczyło mi aż pod samo gardło. To było moje największe pragnienie. Przyznam bowiem szczerze, że nie bardzo pociągało mnie szykowanie się i wciąż

³ Wilk – płk Edward Biernacki, po aresztowaniu płk. Andrzeja Janiszka szef personalny Komendy Gł. OWKB

⁴ Wiktor – płk Romuald Kabulski, po aresztowaniu Witolda Orzechowskiego komendant główny OWKB

szkowanie, ciągle tylko przygotowanie do walki wtedy, kiedy już Niemcy będą pobici. Dobijanie pokonanego przeciwnika jest oczywiście rzeczą niezwykle ważną, nie mniej jednak nie zawsze i nie dla każdego atrakcyjną. Moi chłopcy też stale dopytywali się, czy będziemy takimi wojakami, którzy zaczną się bić wtedy, kiedy będzie po wszystkim. Odpowiadałem im, jak umiałem, nie musiało to jednak brzmieć zbyt przekonująco, gdyż pierwszym, jak sądzę, warunkiem, żeby kogoś przekonać, jest to, aby przekonujący wierzył w to, co mówi.

Opanowałem się jednak. Wiedziałem, że ton zapalczowości czy entuzjazmu może wzbudzić w moim rozmówcy wątpliwości, czy przedstawiam obiektywnie istniejącą sytuację, czy swoje subiektywne pragnienia i marzenia; czy to, co jest naprawdę, czy to, co by się chciało, aby było.

Więc najspokojniej, a nawet z obojętnością zacząłem opowiadać o konfiguracji terenu, o stanie wyszkolenia mojej kadry, o rozmieszczeniu sił niemieckich w okolicy, o możliwościach walki.

Komendant nadal pozostawał nieprzenikniony. Marmur – pomyślałem – twarz, która nie ujawnia myśli ani uczuć. Mimo to jednak czułem, że zdołałem go przekonać.

Gdy po tych wszystkich rozmowach wracałem do Krakowa, nie miałem już najmniejszych wątpliwości, że decyzja przekształcenia naszej „aspiranckiej”, wyczekującej końca wojny i pobicia Niemców grupy w grupę bojową już zapadła.

Nie myliłem się. Wprawdzie zaraz po przyjeździe dowiedziałem się o kolejnej wyspie, której ofiarą padł mój rozmówca z szewskiego warsztatu między Nowym Światem a Marszałkowską – komendant główny Korpusu Bezpieczeństwa Wiktor, jednakże myśl stworzenia grupy bojowej naprawdę walczącej z Niemcami nie wsiąkła w piasek. Przeciwnie. Otrzymałem polecenie, żeby zwiększyć tempo szkolenia, a jednocześnie zbadać możliwości podjęcia otwartej akcji bojowej. Na tej działalności przeszedł cały rok 1943, rok jakże dobrych nadziei, pamiętny porażką Niemców pod Stalingradem, wypędzeniem ich z Afryki, inwazją na kontynent europejski – wprawdzie nie z tej najważniejszej strony, lecz od Włoch, ale i to było już coś – upadkiem Mussoliniego, kapitulacją Włoch, wreszcie odbiciem przez Rosjan Kijowa i zbliżeniem się ich ku dawnym granicom Polski.

Czas działania się zbliżał. Zewsząd dochodziły wieści o mnożących się aktach dywersji i sabotażu, o działaniach partyzanckich. Wszystko to wzmagało zarówno naszą gorliwość szkoleniową, jak i niecierpliwość.

Kto wie – myślałem w długie bezsenne noce – gdyby nie ta wpadka Wiktora, może byśmy się już dawno bili. Myśl stworzenia grupy bojowej kiełkowała wprawdzie, mówiło się o tym coraz częściej, niemniej jednak zwlekano z ostateczną decyzją.

Decyzja zapadła ostatecznie w marcu 1944 r. Powiedziano mi w Krakowie, w Okręgu, że moja grupa bojowa wejdzie w czasie akcji „Burza” w skład Armii Krajowej. Nareszcie – pomyślałem – będziemy się bić.